

Grundkowski Jerzy

Dialektyczny miecz rewolucji

Z „*Fahrenheit*”

Ja, Ulrych, miecz rewolucji, sędzia sprawiedliwy, niezmordowany tropiciel antysowieckich i antypartyjnych spisków i odchyłeń od jedynie słusznej linii, siedzę w wielkim gabinecie, w którym prawie mnie nie widać, bo taki jestem malutki... Ale, choć rozmiarami fizycznymi, gabarytami swoimi, faktycznie jestem niewielki, to nie jestem z tego nierad, wprost przeciwnie, bardzo jestem z mojego małego wzrostu zadowolony, bo i towarzysz Mołotow przezwany Kamiennym Zadkiem też jest pokurczowaty i towarzysz Kliment Woroszyłow, Czerwony Marszałek, także, a są to towarzysze najważniejsi ze wszystkich, ponad nimi jest już tylko towarzysz Stalin, który, strach pomyśleć, bo o wyznaniu tego mowy nawet nie ma, również jest malutki i dlatego może ścierpieć towarzyszy Klimenta Woroszyłowa i Wiaczesława Mołotowa, których widoku przynigdy nie zniosłby, gdyby choć trochę przewyższali go wzrostem. Tak, że bardzo jestem, ja, Ulrych, z niemiecką dokładnością wywiązujący się z powierzonych mi zadań, zadowolony ze swego fizycznego statusu, i powiedziałbym wręcz, że w nim rozmiłowany. Mój mały wzrost ratuje mi życie. Jeszcze ratuje, nie wiedzieć, na jak długo. Tylu ich było, wspaniałych towarzyszy, niezłomnych bojowników bolszewickich, którzy dali głowy, bo nie spodobali się Kobie... Towarzysz Stalin nie polubił ich i ja ich też nie polubiłem. A że kiedy tego zapragnę, zawsze potrafię znaleźć winę, to i znalazłem.

A jednak się boję. Ja, prokurator nieustraszenie ścigający wrogów państwa radzieckiego, stale drzę ze strachu, iż zdarzy mi się (na moje nieszczęście) wroga przeoczyć. A za to, w najlepszym razie, należy się łagier. Wyrok nie byłby odpowiedni do mojego niewielkiego wzrostu. Odpowiadałby raczej mojej wysokiej funkcji - dziesięć lat, piętnaście, dwadzieścia pięć... I wyrok taki musiałbym uważać za niezasłużoną przychylność losu. Musiałbym myśleć, że spotkało mnie niesłychane szczęście, które za jakiś czas zresztą się cofnie, oddali bezpowrotnie... Gdybym przeoczył wroga, lud pracujący miast i wsi nie miałby dla mnie litości. I prawidłowo: litość gubi rewolucjonistę. Nigdy nie przyznaliśmy się do tego, lecz kodeks Nieczajewa stale nas obowiązuje. Rewolucjonista zna tylko sprawę, tylko ideę. I dla niej umiera. I dla niej zabija innych, tę ludzką mierzwę, tyle wartą, aby zbudować nią Kanał Białomorski. Gdybym przez niedopatrzenie prześlepił nieprzyjaciela państwa radzieckiego, pierwszego na świecie państwa robotników, gdzie nie ma wyzysku i kapitalistów, gdybym podstępny wroga, pragnącego zguby narodu, nie wypatrył wśród akt, nie wyszperał go spośród jego kłamliwych zaprzeczeń, towarzysz Ławrientij Beria miałby całkowite prawo zesłać mnie w głąb Rosji, do kopalni i do wyrębu lasu, i jeszcze całowałbym go za to po rękach za okazaną łaskawość. Tak, wielkie i niezasłużone byłoby wówczas moje szczęście. Ja jednak jestem człowiekiem wolnym od złudzeń. Wiem, że nigdy nie dane by mi było rąbać tajgi i pracować przy wznoszeniu podstaw socjalizmu. To dobre dla kulaków. Mnie spotkałyby najpierw tortury, a potem - kulka w prawą skroń. Jeśli towarzysz Beria był tak miły, że zechciał osobiście torturować swego poprzednika w godności towarzysza Jeżowa, dlaczego miałby znowu odmówić sobie tej przyjemności? W czym generalny prokurator ZSRR gorszy jest od towarzysza Jeżowa?

Ja, Ulrych, boję się. Często nie śpię po nocach i do pracy - która jest moją, małego człowieka, jedyną radością, bez której bym umarł - przychodzę wtedy zmęczony, śnięty jak ryba, a ściślej w tak nienajlepszym stanie jestem przywożony czarną wołgą, symbolem mego społecznego statusu, którego nie mogę wyrzec się inaczej niż za cenę własnego życia. A ja tej ceny nie chcę zapłacić. Wiem, że niezależnie od moich pragnień, upadków i wzlotów, zapłacę ją z całą pewnością, kiedyś, lecz robię co mogę, by moment ten przesunąć w czasie, odwlec jak najdłużej, bo doprawdy nieśpieszno mi do kulki

w mojej steranej mózgowicy. Jakem Ulrych, prokurator generalny, strach mnie nie opuszcza, jestem więźniem własnej wszechmocy i potęgi.

Ale ci, których skazuję na śmierć, w imieniu państwa radzieckiego, nie wiedzą o tym. Dla nich jestem Bogiem. A dla mnie Bogiem jest towarzysz Stalin. On może wszystko. Część swych niezbywalnych uprawnień towarzysz Stalin scedował na mnie, niegodnego prokuratora; jestem jego prawą ręką. Każdy chce, by jego prawica działała. Więc działam. Podpisuję wyroki, skazuję i trzęsę się z przerażenia. Gospodarz to wie. I dzięki temu jeszcze żyję. Ci, którzy się nie bali, gryzą już trawę. Ja żyję.

Ja, Ulrych, zagłębiam się w papiery i feruję bezlitosne orzeczenia, tropiąc spisek, który tym razem zakradł się w szeregi Armii Robotniczo - Chłopskiej, dowodzonej przez zdrajców Tuchaczewskiego, Jakira i wielu innych sługusów imperializmu. Mieli oni tysiące i tysiące popleczników. Wszystkich ich trzeba koniecznie wytropić, albowiem jeżeli choć jeden się ostatecznie i wykryje go kto inny, bardziej gorliwy, sprytniejszy, dni moje będą policzone, a za moje życie nikt nie da ani kopiejki. Więc spieszę się i nie przykładam się wcale do spraw, bo to bez sensu. Ważne, ażeby winny nie umknął. Niewinni, jeżeli czasami się trafiają, też nie unikną kary. Nawet jeśli bowiem w danej chwili są bez winy, to nigdzie nie jest powiedziane, że nie zaczęliby knuć w przyszłości. Możliwe to bardzo, zważywszy na to, jak przewrotny i podstępny i niewdzięczny potrafi być człowiek, choć jest człowiekiem radzieckim i nie powinien być podstępny i niewdzięczny, bo jako pierwszy człowiek w historii żyje w państwie bezklasowym, gdzie nikt go nie wyzyskuje o gdzie zostały zlikwidowane nierówności społeczne, zarzewie wszelkiego zła.

Poza tym towarzysz Stalin uznał, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby jeden winny wymknął się karzącej dłoni socjalistycznej sprawiedliwości niżby dziesięciu niewinnych miało stracić życie, bo tracąc, tracą je dla Sprawy, a więc naprawdę nie tracą, a zyskują. Ale kto to rozumie...

Świadomość jeszcze jest przedrewolucyjna.

Patrzę zatem w papiery i zaznaczam ciągle: winny, winny! A każda moja parafka oznacza dla kogoś surowy wyrok, najczęściej długotrwały obóz bez prawa korespondencji.

Pracuję jak szatan, z wytrwałością bliską wytrwałości towarzysza Mołotowa, który nie na darmo w naszych kręgach przezwany został Kamiennym Zadkiem, gdyż może on dniami i nocami siedzieć za biurkiem i pracować, pracować...

Najczęściej widzę tylko aplikantów donoszących mi papiery, zdarza się jednak, nie za często, że przyjmuję zwykłych interesantów. To rzadkość, aby komuś udało się dostać przed moje oblicze. Staje wówczas onieśmielony i zalekniony w progu ogromnego gabinetu i widzi mnie, malutkiego, ukrytego za biurkiem umieszczonym w kącie gabinetu, pod oknem, żebym miał dużo dziennego światła, które jest zdrowe dla oczu. Ja patrzę surowo i łaskawie pozwalam podejść. Interesanci pytają o los krewnych, ojców, synów. Z reguły odpowiadam, że nie wiem, leniwie zastanawiając się, jakich użyli dojsć i komu wręczyli łapówki, aby tu trafić. Strasznie jestem znudzony takimi wizytami, ponieważ ile można patrzeć na kogoś jak na pchłę. Doprawdy może to się znudzić. Mają jednakże swoją dobrą stronę takie wizyty, podczas nich nie ślęczę w dokumentach i wzrok mój odpoczywa, co nie jest bez znaczenia dla sprawy. Chodzi o to, abym jak najdłużej dostrzegał wrogów państwa radzieckiego, pierwszego na świecie państwa sprawiedliwości społecznej, żyjącego i rozwijającego się w warunkach imperialistyczno - kapitalistycznego okrążenia.

Tym razem wszelako jestem jakby mniej znudzony, choć nie mogę powiedzieć, żebym całkiem nie był. Ja, Ulrych, siedzę sobie spokojnie w kącie olbrzymiego gabinetu, ukryty za wielkim biurkiem, pochodzącym jeszcze z czasów, kiedy tylko nielicznym śniło się o rewolucji, i ci właśnie mieli

słuszność, i spoglądałam surowo na znieruchomiłą w progu młodą, ładną dziewczkę, o zgrabnych nogach ukazujących się spod socjalistycznej sukieneczki, chudych piersiach, w ogóle niewidocznych i jasnych, słowiańskich włosach. Dziewczyna jest wysoka, wyższa ode mnie o pół głowy. Tak to oceniam. Boi się zbliżyć. Nie zachęcam jej. Patrzę. Surowy jest mój wzrok rewolucjonisty.

Ona odrywa się od ściany i powolutku podchodzi, co rusz przystając, jakby nie była pewna, czy wolno jej podejść jeszcze bliżej.

Ponieważ nic nie mówię, myśli, że nie mam nic przeciw temu, żeby tak sobie spokojnie i lekko podchodziła.

Chrząkam!

Jasnowłosa staje jak wryta: tak podziałało na nią moje surowe chrząknięcie rewolucjonisty. Ja, Ulrych, sędzia sprawiedliwy, budzę strach, ale już mnie to nie bawi; rzecz spowszedniała mi, przeżarłem się strachem jak kawiozem.

- No - powiadam. - Kim jesteście?

- Jekateriona Iwanowa - ledwo wyciska z siebie młodzianka petentka. - Przyszłam do was, żeby dowiedzieć się o moim ojcu...

- Kim był - rzucam to pytanie w pustą przestrzeń, ciskam je byle jak, niczym kość psu

Ona mruga powiekami.

- Już nie jest? Nie żyje, towarzyszu Ulrych? Mój ojciec nie żyje?

- Nie wiem, zbadamy.

- Powiedziano mi, że towarzyszu prokurator wie wszystko!

- Co za głupstw wam nagadano - mówię dość łagodnie, nie odmawiając sobie przyjemności zapytania, kto ją do tego stopnia raczył oświecić.

Dziewczyna jest spłoszona. Kruszeje moje serce rewolucjonisty.

- No - mówię ochryple, bo od dłuższego czasu daremnie walczę z anginą i brak mi czasu, aby ją wyleżeć. - Niech wam będzie. Przypomnijcie mi jego nazwisko, towarzyszeko.

- Nazwisko i otczestwo ojca, towarzyszu prokuratorze?

- I jeszcze stopień

- To wy wiecie! - wrywa się jej, skromnisi.

- Może wiemy, może nie. Może wiemy wszystko, może wiemy więcej, niż wam się zdaje. Może nie wiemy nic, może nie wiemy, gdzie jest wasz ojciec i co z nim zrobiono, albo co sam sobie biedak zrobił. Czy był zdrajcą!?

- Nie!

- To po kiego czorta przyszliście?

Dziewczyna czerwienieje. Znów łagodnieje moje serce.

- To na pewno była pomyłka - mówi żarliwie. - Ojciec był dobrym komunistą.

- Wasz ojciec?

- Mój - powiada dziewczyna i po raz pierwszy twarz jej zdradza niejaki rys nieugiętości. Znam się na tym. Widywało się już różnych zdrajców. Jedni przyznawali się szybciej, drudzy później. Inni wcale. Los ich jednak zrównał - obszedł się z nimi tak samo. Wszyscy dostali łagier bez prawa korespondencji. I już było po bólu.

- Mój ojciec był dobrym komunistą - powtarza interesantka, bezwiednie używając formy przeszłej, jakby jej tatulek już nie żył.

A może i naprawdę nie żyje? Jeżeli takie było jego przeznaczenie, że ma nie żyć, to nie żyje. Umarłego to nawet towarzysz Stalin nie wskrzesi. Tylko tym różniłby się od Boga, gdyby Bóg nie był wymysłem sługusów międzynarodowego kapitalizmu, klechów, którzy dzięki temu trzymają robotników w niewoli.

- Był?

- Jest - krzyczy jasnowłosa petentka.- Jest nadal!

Słyszę rozpacz w jej głosie. Znowu czuję miłe ożywienie. Pojawia się przyjemny dreszczyk, znamionujący przeżycia, o których sądziłem, że nie jestem do nich zdolny.

- No jest, jest - mówię i uśmiecham się chytrze. Tego parszywego lisiego uśmiešku nigdy nie udało mi się pozbyć, choć tyle ćwiczyłem przed weneckim lustrem, zagarniętym przez jakiś oddział podczas rewolucji.

- Mój ojciec jest dobrym komunistą.

- Na czym to polega? - pytam.

- Dobry komunista wierzy w partię i towarzysza Stalina - odpowiada bez zająknięcia jasnowłosa. - Jestem komsomołką...

- Ach, jesteście komsomołką...

- Tak, towarzyszu, jestem.

- A wasz tatuś był dobrym...

- ...komunistą - dopowiada dziewczeczka.

- Po czym poznajemy dobrego komunistę?

- Po tym, że niezachwianie wierzy w partię i w towarzysza Stalina, który jest nieomylny.

- No widzicie - mówię z zadowoleniem. - Zapomnieliście przedtem, że dobry komunista musi wierzyć niezachwianie... Może wasz ojciec tak samo wierzył, czyli nie niezachwianie?

- On... był dobrym...

- Po czym poznajemy?

- Po tym, że wierzy.

- W co?

- W partię, niezachwianie i w Stalina nieomylnego.

- Towarzysz Stalin jest sam z siebie, ze swej istoty najgłębszej nieomylny i doskonały. Podkreślanie jego nieomylności jest w gruncie rzeczy próbą jej podważenia.

Jasnowłosa otwiera szerzej oczy.

- Udajecie, że nie rozumiecie?

Kiwa śliczną główką.

- Co za udawanie! - powiadam. - I po co to? Jakem Ulrych, prokurator generalny ZSRR, prawda zawsze wychodzi na wierzch, szczególnie, gdy ja za nią się zabieram.

- Ja nie wiem, o czym mówicie, towarzyszu!

- Nie udawajcie takiej zropaczonej. Podejdźcie.

Podchodzi do mnie z wielką obawą. Cała drży. Sprawia mi to przyjemność. Ożywiają się moje maleńkie gabaryty, a zwłaszcza jeden z nich.

- Jeszcze?

Staje obok mnie, z lewej strony. Zaszczycam ją głaskaniem po jej wspaniałych, długich włosach koloru pszenicy, i to pszenicy radzieckiej, nie kapitalistycznej, która nie jest tak szlachetnego odcienia, nie może być, gdyż wzrosła w warunkach wyzysku.

Dziewczyna - no patrzajcie! - zapomniałem jej danych personalnych, ale nie o dane chodzi, dane można mieć zawsze, raz takie, raz inne - nachyla się nieco, abym mógł dosięgnąć jej włosów i cała drży z niepokoju. Jej niepokój jest uzasadniony, jeżeli jest rzeczywiście córką wroga rewolucji, który podstępnie ukrył się w szeregach RKKK. Jeśli jednak był niewinny, co czasem się zdarza, to nie powinna się bać.

Prędzej czy później towarzysz Stalin go zrehabilituje.

Dłoń moja wypiełgnowana, z równo, przyjemniutko obciętych paznokietkami, nie gładzi już spokojnie włosów miłej komsomołki, lecz gwałtownie schodzi niżej i opiera się o jej siedzenie, okrągłe, pyszne, mięsiste, z mocno zarysowanymi stawami biodrowymi i kośćmi miednicy.

Krotochwilnie szczypie ją. Mówi: łać! - i odskakuje, udając oburzenie. Potem powiada:

- Co wy towarzyszu, Ulrych, co wy. Tak to mnie pocieszacie, tak? Powiedzcie lepiej, co się stało z moim ojcem, dobrym komunistą!

Śmieję się gabarytowo i mówię:

- Jeśli był on naprawdę dobrym komunistą, to włos mu z głowy spaść nie może. A jeżeli nie był, to nie chciałbym być w waszej skórze.

Ona blednie.

- Powiedźcie mi, do wszystkich diabłów! - krzyczy tak głośno, że aż się chwieje portret towarzysza Lenina, wodza rewolucji, wiszący nad drzwiami. Wisi w tym miejscu, abym mógł go stale widzieć i czerpać zeń siły do mej niełatwej i jakże odpowiedzialnej pracy. Oprócz tego jest też w gabinecie kilka portretów towarzysza Stalina, które wiszą tak, że Gospodarz patrzy na mnie ze wszystkich stron i gdzie wzroku nie obrócę, tam napotykam jego surowe i przenikliwe spojrzenie, które dopiero zachęca mnie do pracy i sił dodaje!

- Milczeć!

Ona blednie jeszcze bardziej i uderza w płacz. Tym chce mnie zmiękczyć. Ale ja nie takie rzeczy oglądałem. A moje poczucie rewolucyjnej sprawiedliwości jest niezachwiane.

- Milczeć - wołam, bo drażni mnie, że nie przestaje płakać, jakby to coś mogło pomóc.

Nie, to nie może pomóc.

Jasnowłosa uspokaja się.

- Proszę, towarzyszu Ulrych, powiedźcie mi, co się stało z moim ojcem...

- Wasze imię?

- Jekaterina Iwanowa.

- Nazwisko?

- Wieszatelnikow.

- Imię ojca?

- Iwan Edmuntowicz.

- Nazwisko?

- Takie samo.

- Nazwisko!!!

- Wieszatelnikow

- Stopień ojca?

- Komandir II rangi



-Kiedy aresztowany?

- Szesnastego października zeszłego roku.

- Pod zarzutem?

- Spisku w szeregach RKKK i zdrady państwa radzieckiego.

- Co się z nim stało?

- Od czasu aresztowania nie mamy o nim żadnych wiadomości.

- Gdzie służył?

- W Kijowie.

- Gdzie dowódcą okręgu był komandor Jakir?

Nic na to nie powiedziała.

- Służył pod Jakirem... no, no... Pod Jakirem. A gdzie służył przedtem?

- Zawsze w Kijowie.

- Zawsze? - powtórzyłem.

- Służył tam, dokąd został skierowany przez partię. Był jej wiernym synem. Budowie państwa radzieckiego poświęcił się od najmłodszych lat. Był w oddziałach, które szturmowały Pałac Zimowy. Walczył z obcą interwencją: z Kołczakiem, Denikinem, machnowcami, wojskami pańskiej Polski. Towarzysz Feliks Edmuntowicz zaprosił go do pracy w swojej Nadzwyczajnej Komisji...

- Był więc i czekistą wasz tatulek!

- Mówiłam: służył wiernie tam, gdzie kierowała go wola partii bolszewickiej.

- A przeciw wojskom Piłsudskiego, w jakiej armii walczył? Co to była za jednostka? Może Pierwsza Konna towarzysza Siemiona Budionnego?

- Nie. Mojego ojca oddelegowano do pracy w sztabie.

- Czym sztabie?

- Frontu.

- Którego frontu?

- Komandorma Tuchaczewskiego.

- Acha. No to siądźcie sobie, a ja poszperam w papierach.

Dziewczyna siada, pokazując ładne kolana. Pokazuje je jakby celowo. Mogłaby zakryć, wystarczyłby do tego ruch dłoni - nie zakrywa. Ja zagłębiam się w dokumenty. Znaczy, przerzucam je byle jak.

Przecież znam sprawę. Ja, Ulrych, generalny prokurator, miałbym nie znać tej sprawy? Człowiek został już osądzony i stracony. Szybka jest rewolucyjna sprawiedliwość. Jakem Ulrych, prokurator - państwo nasze ma powody być dumne ze swego wymiaru sprawiedliwości. Zawsze znajdzie on wroga.

- Istotnie - mówię. - Wasz ojciec został aresztowany pod zarzutem udziału w spisku

Tuchaczewskiego, Jakira i całej bandy imperialistycznych szpiegów...

Podbiega do mnie, nieruchomiejąc przed samym biurkiem, dopiero tam staje, a jej niecierpliwy i przerażony wzrok przenosi się na przemian z mojej głowy na moje dłonie wertujące stosik papierów, gdyż rozumie, że w jednym i drugim zawiera się los ukochanego ojca.

- To pomyłka - zapewnia żarliwie. - Mój ojciec zawsze był wierny i nigdy nie zbłądził Towarzysz Stalin był dla niego Bogiem.

- A dla was?

- Również! - odpowiada bez zająknięcia, odpowiada szczerze.

- Bóg nie istnieje, jest tylko towarzysz Stalin, nieomylny i niezachwiany.

- Tak!

- Tak - mówię

- Zawsze wierzyłam w towarzysza Stalina - zapewnia dziewczyna.

- I słusznie. Zobaczą, co da się zrobić dla waszego ojca. Powiadacie, że niewinny?

- Tak, to na pewno straszna pomyłka. Całe życie mojego ojca, życie oddane sprawie rewolucji światowej i komunizmu, świadczy o tym, że musiała być to pomyłka. Może ktoś zawistny rzucił nań podejrzenie? Doprawdy nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć.

- Poczytajcie dzieła Lenina, towarzyszeko, tam jest wszystko.

- Ja jestem prosta dziewczyna...

- Nie nauka wam w głowie? A co? Miłość może?!

Podnosi dumnie główkę.

- Jeżeli miłość - powiada stanowczym tonem - to jedynie do partii i socjalizmu. Jestem całkowicie oddana sprawie przebudowy naszej ojczyzny. Za władzę sowiecką gotowa jestem oddać życie. Tak mnie wychowano. Tak wychował mnie ojciec, komandir II rangi w sztabie kijowskiego okręgu wojskowego.

- Przypominam wam, że sztab tego okręgu okazał się być wylegarnią imperialistycznych szpiegów i agentów trockizmu. Ale dość już o tym, bo się popłaczecie. Podejdźcie bliżej.

Ona podchodzi niepewnie, rozglądając się na boki, jakby bała się, co powie na to towarzysz Stalin surowo spoglądający z kilku portretów.

- Jeszcze bliżej.

Biorę ją za rączkę i pytam słodziutko:

- Naprawdę jesteście oddani partii? A może oddawaliście się już mężczyznom? Ile masz lat, komsomołko?

- Osiemnaście - odpowiada, rumieniąc się.- Ale po co to, towarzyszu prokuratorze?

Nic nie mówię, tylko wstaję od biurka. Jasnowłosa dziewczyna, latorośl dobrego komunisty, który gryzie już trawę, o czym ona jeszcze nie wie i łudzi się nadzieją tyleż płonną co głupią, znowu pąsowieje i odsuwa się nieznacznie, lecz nie tak, abym nie mógł jej pochwycić.

- Co wy?

- Milcz - syczę, zadzierając głowę, bo ona znacznie ode mnie wyższa. - Milcz, jeśli chcesz zobaczyć ojca.

- To on żyje? Powiedźcie!

- A żyje... Może żyje...

- Nie wiecie, towarzyszu generalny prokuratorze?

Ileż bólu i zawiedzionej nadziei wyczuwam w jej głosiku! Moje twarde serce nieugiętego bolszewika na moment zmiękło i w nieuzasadnionym przypiływie braku rewolucyjnej czujności odpowiedziałem komsomołce, że jej ojciec, jeżeli jest niewinny, żyje na pewno.

- Jest niewinny - zapewniła mnie z wielką żarliwością, do jakiej zdolna jest tylko dusza rosyjska.

- Sprawę zbadamy.

- Dopiero zbadacie?

- Tak - rzekłem ostro. - Ale sami rozumiecie, musicie mnie czymś zachęcić...

Mówiąc to, sięgnąłem dłonią po należną nagrodę.. Zawsze się najpierw bierze nagrodę - taka panuje zasada. Potem reszta. Albo nie potem. Albo nie ma reszty.

Dziewczyna spąsowiała. Już roznamiętniony, pociągnąłem ją na podłogę i bez zwłoki posiadałem. Nie była dziewicą, kłamczucha. Niemało trzeba jeszcze będzie pracować nad rewolucyjną moralnością, oj niemało!

Potem puszczam ją wolno i wbijam wzrok w ścianę.

Na ścianie owej zaznaczony został wzrost towarzyszy Stalina, Mołotowa, Woroszyłowa i mój niegodny wzrost również. Nasi najważniejsi towarzysze są malutcy, ale ja, Ulrych jestem jeszcze mniejszy od nich i dzięki temu żyje. Od czasu, kiedy którejś niespokojnej, samotnej nocy przyśniło mi się, że urosłem o pół łokcia, trwam w stałym strachu, że kiedyś ten straszny sen może się ziścić. Więc podchodzę do ściany i sprawdzam, czy nie urosłem. Robię to dzień w dzień. Teraz także. Na szczęście moje gabaryty nie uległy zmianie. Powoli zaciągam kotarę. Dziewczyna rzeczywiście była wysoka, wyższa od samego Stalina. To zbrodnia.

Wracam za biurko i zatapiam się w pracy. Przerzywa ją telefon. Dzwoni oficer NKWD i mówi, że czas jechać do jednostki wojskowej, w której zakradł się spisek.

Wyjeżdżamy.

Oficer jest ode mnie wyższy o głowę. Siedzi w aucie po mojej prawej stronie. Przed sobą widzę kilka samochodów eskorty. Za nami też eskorta. Prujemy pustą szosą aż miło. Zajeżdżamy na obiad. Jestem głodny, toteż posiłam się z przyjemnością. Z pokoju obok dochodzą wrzaski przesłuchiwanym. Wysoki oficer jest gorliwym. Nie ma sensu mu przeszkadzać, mnie wrzaski zdrajców nie psują apetytu. Powiedziałbym nawet, że lepiej wtedy trawię.

Po godzinie oficer wchodzi do mego pokoju i melduje, że komkor Serafinowicz przyznał się do winy.

- Wprowadzić - mówię.

Enkawudziści sadzają na krześle skutego człowieka o zakrwawionej twarzy.

- Szybko skruszeliście. Kto was wciągnął?

- Nikt - chrypi zdrajca.

Kiwam głową.

Wyprowadzają go. Wrzeszczy i wierzga nogami. Ja ziewam.

Po godzinie rzucają go do moich stóp.

- Kto was wciągnął, towarzyszu?

- Kom...kom...

- Komisarz? - pytam domyślnie

Kiwa głową.

- Co za komisarz!!! - ryczę na niego, kutasa pieprzonego, bo taki, co się przyznał, co tortur nie wytrzymał, jest zwykłym kutafonem, nie porządnym komunistą.- Którego pułku!? Jakiej dywizji? Jakiej brygady!? Psie pierdolony, job twoju mać, zaraz masz się przyznać, kapitalistyczny szpiegu!!! Ty trockisto zapieprzony! Ty agencie niemiecki! Ty łajdaku od Tuchaczewskiego! Ty draniu od Jakira! Towarzysz Beria jeszcze ci się do dupy dobierze, świnió!

Na to zatrząsł się komkor Serafinowicz, pies niemiecki, trockistowski agent, job jego mać! Pot oblał mu czoło, prawie zdychał, a ja prokurator Ulrych, sędzia niezawisły i sprawiedliwy, taki, co wroga nie prześlepi, choćbym miał sam zdechnąć, ale nie zdechnę, zdechną inni, na Sybirze, w kopalni, w łagrze, podczas wyrębu lasu, patrzyłem nań, zdychającego, wzrokiem radosnym i sprawiedliwym, jak przystało na prokuratora! I nie tylko patrzyłem! Również pytałem, również prowadziłem śledztwo, wywiązując się ze swoich obowiązków!

- Ty świnió! Coś powiedział! Jaki komisarz! Gadaj, psie. Bo oddam cię chłopcom z NKWD!

Znów zatrząsł się zdradziecki komkor, lecz moje sumienie było czyste: klechy marudzą, że nie grzeszy ten, kto nie ma świadomości grzechu: jam bezgrzeszny; towarzysz świadkiem; wszystko czynię dla dobra wielkiej sprawy socjalizmu, której jestem bezgranicznie wierny.

I dalej trząśł się zdradziecki komkor, tchórzliwie lękający się tortur! Ja zaś niezawisłe spoglądałem mu w oczy, rozbiegane i słusznie przerażone. Jeszcze moment, a zaczęłyby lizać moje buty! Tak bał się chłopców z NKWD! Co on sobie myśli, że uniknie sprawiedliwości!? Nigdy!

- Gadaj draniu!

- Nie komisarz... kombrig...

- Jaki kombrig, kutafonie!? Gadaj!

- Kom...kom...

- Nie krztuś się i nie pluj krwią - powiedziałem. - To, że się krztusisz i plujesz krwią, również zostanie ci policzone między twoje winy. I o tym nie zapomni towarzysz Stalin. Nie zapomni ci tego, że zamiast zeznawać, śmiałeś zdradliwie pluć krwią, bezczeszcząc prokuratorski gabinet... Bo wszędzie tam, gdzie jestem, jest mój gabinet. Więc zaprzestań charczenia i plucia i powiedz, co to za kombrig - zdrajca, wciągnął cię do kontrrewolucyjnego spisku.

- Zołotariew.

- Kombrig Zołotariew, hm... Nigdy bym się tego po nim nie spodziewał. Nie łżesz?

- Nie - wyszeptał zdradziecki komkor. Nadal broczył, lecz już wstrzymywał się od charczenia.

- Bo jakbyś kłamał...

- Mówię prawdę. Chcieliście, żebym się przyznał, to się przyznaję.

- I to ci się chwali, komkorze, że nie ukrywasz współników i spieszysz na nich donieść. Kto jeszcze?

- Nikt.

- Nikt?

- Błagam, nikt!

- Za późno - wycodziłem.- Za późno na żal. Towarzysz Stalin wie i widzi wszystko. Jak mogłeś przypuścić, że unikniesz kary? Żaden winny jeszcze nam nie umknął. Kto jeszcze?

- Nikt.

- Zabrać go!

- Błagam, nie!

- Zabrać!

Towarzysze enkawudziści poderwali łajdaka z klęczek i, bijąc po głowie, skierowali do wyjścia. Komkor był draniem na schwał, dużym i silnym, spasionym na kapitalistycznym żołdzie. Enkawudziści zaś byli drobni i wąтли. Toteż przyjemnie było patrzeć, jak go ćwiczą po pysku, a on nic, tylko pluje krwią, charczy i błaga. Naraz zdradziecki komkor, znoszący dotąd razy w cierpliwym milczeniu, strząsnął z siebie towarzyszy enkawudzistów i rzucił się w moim kierunku.

Kto wie, czy nie nadeszłaby moja ostatnia godzina, gdyż pistolet miałem schowany w biurku, gdyby nie to, że enkawudziści naprawili swój błąd i w trójkę skoczyli komkorowi na plecy, przez co nie zdążył do mnie dotrzeć.

Wywiązała się walka na pięści i kopniaki, w której komkor poczynił sobie nawet dość dzielnie - szczególnie ucierpiał najwyższy z enkawudzistów, typowy średniak - lecz w końcu obezwładnili go, skopali i pobitego do nieprzytomności wyciągnęli jak worek z mojego gabinetu.

Odetchnąłem.

Wrócili po pół godzinie.

- No jak, towarzysze? - spytałem łagodnie.

- Zdechł, towarzyszu prokuratorze - odrzekł enkawudzista średniak, ten z najbardziej przez komkora obitym pyskiem.

- Zdechł, mówicie? No, to wy pojedziecie ze mną, a reszta zostaje i dalej ściga wrogów. Musicie wykonać plan zdrajców. Zrozumieliście?

- Tak, towarzyszu - odrzekli chórem, patrząc jakby z litością na swojego kolegę.

Zgubne to były spojrzenia, zgubne i dla niego, i dla nich, lecz tym razem naprawdę postanowiłem okazać się pewną łaskawością - ile można się srożyć!?

Powróciliśmy do Moskwy, parę razy zbaczając z trasy, by dopełnić dzieła sprawiedliwości. Rosły moje teczki, a w parnym powietrzu zdawał się jeszcze unosić krzyk zdrajców. Towarzysz Stalin nadal spoglądał na mnie z kilku portretów, przypominając swojemu prokuratorowi o obowiązku czujności. Byłem czujny, żaden nieprzyjaciel państwa nie mógł uniknąć kary. W wolnej chwili sprawdziłem, że ojciec jasnowłosej komsomołki od dawna gryzł już ziemię; szybka i nieubłagana jest rewolucyjna sprawiedliwość. Codziennie, w tajemnicy przed wszystkimi, mierzyłem swój wzrost, przekonując się z uczuciem wielkiej ulgi, że moje małe gabaryty nie zmieniły się. Dalej byłem niższy od towarzyszy Stalina, Mołotowa i Woroszyłowa, co obiecywało mi nieśmiertelność podobną do ich nieśmiertelności. Sądziłem, że nic nie zmąci mojego szczęścia.

W jakże okrutnym byłem błędzie! I tylko do siebie mogę mieć o to pretensje, nigdy do któregoś z najważniejszych towarzyszy, z samej swej natury bezwinnych.

Tylko do siebie i... do łajdaka enkawudzisty, z pyskiem obitym przez komkora Serafinowicza. Wziąłem go, nie wiedząc dlaczego, do mojej świty; z czasem przekonałem się, że zabrałem go do Moskwy po to, aby go dręczyć.

Przybierało to różne formy. Najczęściej zarzucałem mu opieszałość i brak gorliwości w wykonywaniu planu zdrajców, który ze wszystkich planów jest najważniejszy. Przedkładałem mu wytrwale, że rośnie już las w syberyjskiej tajdze, który kiedyś będzie rąbał. Kiedy indziej mówiłem, że las już urósł. Tłumaczyłem łajdakowi, iż nie będzie pierwszym enkawudzistą, który w łągrze spotka się ze swoimi ofiarami. Kazałem mu wyobrazić sobie, co oni z nim uczynią. Mimo, iż wyobraźnię miał ubożuchną, to jedno potrafił sobie doskonale wyobrazić, co objawiał niegodnym prawdziwego bolszewika dygotaniem łydek i spływającym mu z niziutkiego czoła potem... Pocił się naturalnie ze strachu, małego był ducha.

Pewnego razu pokazałem mu jego teczkę... Znaczący, niby przypadkiem wyszedłem z pokoju, otwartą teczkę personalną z jego nieważnym, już zalatującym trupem nazwiskiem pozostawiając na biurku,

aby ją obejrzał. I nie pomyliłem się. Ale kto by wytrzymał! Czyż chory nie spogląda do kartoteki lekarskiej, z lęku, czy wyrok nie jest już wydany!? Ja byłem lekarzem a on chorym. Spojrzał. To go zgubiło. Teczka była spreparowana. Enkawudzista nie znajdował się w wykazie zdrajców przeznaczonych w pierwszej kolejności do Workuty. Nie mnie było osądzać GPU. Jednakże strach ma wielkie oczy; powiesił się w leśnej latrynie, podczas jednej z wycieczek do miejsc, gdzie wrogów ludu wychowuje się na prawych obywateli socjalistycznej ojczyzny. Patrząc na dyndające na wietrze ciało, czułem zadowolenie ze spełnionego obowiązku i ciche, małe szczęście, o jakim małodusznie sądziłem, że już nie jestem doń zdolny. Byłem zdolny. Jeszcze cieszyła mnie moja niełatwa praca. Chwała towarzyszowi Stalinowi i Berii! Bez nich wszystkie moje dni byłyby jednak smutne i szare.

Nie koniec to tej historii, chociaż tak byłoby najlepiej. Jakiś czas potem, ja, Ulrych, miecz rewolucji, sędzia niezłomny i sprawiedliwy, przekląłem swoje małe, ciche szczęście, jakie odczuwałem, przypatrując się wiszącemu enkawudziście, targanemu zimnym rosyjskim wiatrem.

Było tak: jak zawsze stanąłem przy ścianie, by dokonać pomiaru mego niedogodnego wzrostu i zamiast jak zawsze stwierdzić, że na moje szczęście nic nie urosłem, tym razem przekonałem się z bólem i trwogą, niewielkie gabaryty, z których byłem jakże dumny, poprawiły się! Znaczy - pogorszyły. Urosłem! Na wszystkich klechów świata, urosłem o dwa palce!

Nie wierząc własnym oczom, jak każdy człowiek stykający się z niemiłą prawdą, zrobiłem nowy pomiar w złudnej nadziei rozwiania koszmaru. Nie rozwiązał się. Rzeczywiście powiększyłem się. Byłem już taki wysoki jak nasi najlepsi towarzysze: Stalin, Mołotow i Woroszyłow. Gdybym urosł jeszcze trochę, znalazłbym się w niebezpieczeństwie gorszym od śmierci! I nic nie mógłbym na to poradzić.

Gorączkowo zacząłem szukać przyczyn. Rozumowałem, iż skoro istnieje coś, co powoduje, że rosnę, to czym prędzej należy to coś zniszczyć, rozprawić się z podstępny i tajemniczym wrogiem, który przedarł się przez strzeżone granice i zagraża istnieniu generalnego prokuratora Związku Sowieckiego. Tyle zachowałem jednak przytomności umysłu, że nie zwierzyłem się nikomu z mojej tragedii (byłby to ostatni błąd w moim życiu), ani nie przyjąłem założenia (dialektycznego) o materialności wroga. Niestety, jakże by to ohydnie nie brzmiało, nieprzyjaciel był niematerialny i przez to niepojęty...

Żeby nie przeciągać sprawy tak dla mnie bolesnej, na trop naprowadziła mnie informacja o śmierci jasnowłosej komsomołki. Skoczyła z mostu do rzeki. Rzek mamy dużo; nie warto podawać nazwy. Skojarzyłem ze sobą tę śmierć i zgon drania enkawudzisty, wciąż chwiejącego się na wietrze! To od nich przejąłem to tajemnicze coś, powodujące, że bezsensownie rosnę. Zgryzoty i smutki sprawiły jednak, tak sądzę, że to one właśnie sprawiły, iż proces niepohamowanego wzrostu został u mnie zatrzymany. Co mówię wszelako nie bez lęku.

Licho nie śpi, a wróg podstępny, wróg niematerialny czuwa.

Toteż ja, Ulrych, prokurator generalny, wszystkie swoje siły oddaję sprawie budowy lepszej przyszłości, która jest zarazem i moją przyszłością, żyję w ciągłym strachu przed tajemniczym, duchowym niebezpieczeństwem, myśląc sobie, że ten obrzydliwy materialny świat nie jest tak całkiem obrzydliwie materialny, jak się nam dobrym komunistom wydaje; myśli te oczywiście zachowuję dla siebie; kto dużo mówi, krótko żyje.

Koniec